

Jediot Ahronot, 12.03.2009

DANA ROTSCILD

GDZIE TE DZIEWCZYNY?

„Lubiewo” Michała Witkowskiego to czarujący hymn pochwalny na cześć polskich homoseksualistów odrzuconych przez Zachód.



„Querelle”, Andy Warhol, 1982

„Wszystkie stare cioty zniknęły, czy może zostały zamordowane?” – zastanawia się jedna z ciot w wspaniałej książce „Lubiewo” zaraz po tym, gdy młody facet zaproponował jej bez osłonek w jednym z wrocławskich parków „obciążenie fiuta”, co jej zdaniem jest wyrażeniem głupim i pozbawionym sex-appealu. „Ale od kogo miałby się nauczyć? Gdzie są jakieś podręczniki?” – zastanawia się i myśli głośno – skąd będzie wiedział, jak zostać homoseksualistą? Przecież historię, jak wiadomo, piszą zwycięzcy. A wraz z upadkiem czasów komunizmu w Polsce największymi przegranymi byli właśnie wrocławscy homoseksualiści, zarówno w dzień – jako biedacy i niechciani pracownicy, jak i w nocy – jako cioty szukające fiuta w wyznającym kult macho homofobicznym społeczeństwie, w którym większość takich spraw kończy się brutalnie.

I jak każda rzeczywiście prześladowana mniejszość, także wrocławskie cioty nie pozostawiły po sobie spisane jak należy manifestu, opisu zwyczajów, zachowań i tradycji, i stopniowo wymierają. Wszystkie pokolenia zrzęd, plotkujących gaduł, które zapelniały park, obsadzały swoją „nocną zmianę” w oczekiwaniu na rosyjskiego żołnierza, który pozwoli im obciągnąć którejś nocy, albo pijanego wiejskiego osilka, który im wsadzi nie mordując i nie okradając zaraz potem – wszystkie one razem zniknęły wraz ze zniknięciem komunizmu.

W ich miejsce zaczynają pojawiać się „geje” (neutralne określenie wynalezione na Zachodzie) wraz ze swoją zachodnią popkulturą, zachodnim językiem i zachodnimi zwyczajami. I nie ma już „poczucia brudu ani występku”. Ale gdzie są te dziewczyny – Patrycja, Lukrecja, Hrabina, Sowa, Andżelika, Dżesika i Doktor Mengele (który został tak przezwany, bo przybył z malowniczego miasteczka Oświęcim, a poza tym był psychopata)? One wszystkie się postarzały. Lukrecja (Lukrecjusz) pilnuje, aby w każdą niedzielę iść do kościoła, jak zawsze; Patrycja rozczula się nad używanymi majtkami pozostawionymi przez sowieckich żołnierzy, gdy wyjeżdżali; a reszta? – część umarła na AIDS, część została zamordowana, część zniknęła staczając się na samo dno nowej, kapitalistycznej Polski.

Więc skąd, na Boga, autor, Michał Witkowski, zwany także Michaśką (gdyż staromodne cioty nadawały sobie żeńskie imiona, nie obawiając się, że to przedstawi je w negatywnym świetle w oczach tych z „mainstreamu”) mógł znać genealogię tej społeczności, rocznice, reguły postępowania, imiona, szalety, kryjówki i legendy gromadzone przez setki takich ciot, które stały się ich alternatywną historią? Otóż rozmawiał z dziesiątkami emerytów, którzy w dalszym ciągu przybywają na wypoczynek do Lubiewa, (tak jakby czasy wczasów zakładowych nadal trwały) i wyciągał z nich, co da się jeszcze uratować, co jeszcze jest lub co – jeśli trzeba – można wymyślić, gdyż cioty są nieuleczalnymi kłamczuchami. Witkowski zaświadcza: „W słowach tkwi ich siła. Niczego nie mają, wszystko muszą sobie dokłamać,

dozmyślać, dośpiewać”.

Dzisiejsi polscy geje wstydzą się tych ciot, kim są one dzisiaj i co sobą reprezentują: kobiece zachowania, nieukrywane podniecenie, nienawiść do samych siebie, brudne historyjki mrożące krew w żyłach, obciekające sprośnością i nasyczone poniżeniem, historyjki o ich żalonym pożądanym, o tym, że jakiś prawdziwy mężczyzna zrobi z nich dziwki i poniży je jak należy – przecież to jest tak politycznie niepoprawne z ich strony – i jakież one są biedne, głupie, ignoranckie i nieświadome politycznie. Siedzą sobie dzisiaj na plaży, a przecież, poza tym wszystkim, są już grube, brzydkie i stare, i czytają prasę bulwarową. Tworzą złą opinię wszystkim gejom z mainstreamu, opalonym, męskim, z tą sterylnością cechującą Austriaków, Szwajcarów i Niemców.

Sam Witkowski jest w stosunku do nich lojalny. Kocha ich i jednocześnie wykpiwa. Oni rzeczywiście wzbudzają politowanie, ale nie można ich nie pokochać po przeczytaniu tej książki, bulgoczącej i kipiącej od początku do końca płynami ciała, żalnością i współczuciem, ale także romantyką. Romantyką, przez pryzmat której Witkowski widzi, jako współczesny, poemancyjny homoseksualista, życie ówczesnych homoseksualistów w czasach, w których wszystko było zabronione, przemilczane i ukrywane, ale właśnie dlatego bardziej pociągające i ekscytujące, jeszcze zanim – wraz z nadejściem kapitalizmu – słodziutcy geje Zachodu zapanowali także na Wschodzie. Już niedługo, ostrzega go koleżanka, „nie będzie żadnego getta. Pedalstwo będzie tak przezroczyste, że nikt nie zauważy na zwykłej plaży, że facet całuje się z facetem. Ale nas wtedy, Paula, na szczęście już nie będzie na świecie”.

„Lubiewo” to nie tylko fascynująca książka, pełna humoru i nasączona bezinteresowną miłością. Przypomina nam także, że we wszystkich toczących się dzisiaj homoseksualnych bojach jesteśmy tylko karłami stojącymi na ramionach olbrzymów, a może właściwiej byłoby powiedzieć olbrzymek. Pamiętajmy więc, że nawet jeśli stoimy na ramionach tych olbrzymek, one same są nadal na klęczkach i obciążają każdego, kto się tylko nadarzy.

„Lubiewo” (hebr. „Hof Lubiewo”, czyli „Plaża Lubiewo”), Michał Witkowski, tłumaczenie z języka polskiego: Ilay Halpern, wydawnictwo Shocken, 300 stron.

Tłumaczenie: K.D.Majus